



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Andrzej Michejda

## Wrzesień 1939

Wakacje w ostatnich dniach sierpnia Ojciec z moim młodszym bratem spędzali na Łotwie. Mama w tym czasie zajmowała się pilnowaniem zakończenia budowy domu letniskowego nad jeziorem Gulbiny, a także sprawdzała dyskretnie, czy rzeczywiście dość solidnie przygotowujemy się do egzaminu z prawa administracyjnego, zamykającego przedostatni rok studiów na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, który nam wyznaczono na sesję jesienną. Przerabiamy materiał we dwóch, z moim przyjacielem Ignacym Jeśmanem, wzajemnie się przepytując. Jako zaawansowani żeglarze jesteśmy szczególnie źli, że tak głupio zmarnowaliśmy sobie wakacje.

Na wiosennej sesji obydwaj, podobnie jak i większość studentów III roku otrzymaliśmy na egzaminie dwóję. Ja nie odpowiedziałem na pytanie, kiedy wedle prawa łowieckiego obowiązują okresy ochronne na dziką zwierzynę i jakie za jego naruszenie grożą sankcje. Ignacy nie umiał opowiedzieć prawidłowo o szczegółach ustawy o ruchu drogowym. Wieść niosła, że nasz profesor tego przedmiotu – Jerzy Panejko, oblewa na pierwszej sesji większość zdających, gdyż za każdy przeprowadzony egzamin otrzymuje wynagrodzenie. Im więcej dwój, tym więcej dodatku do pensji na jesieni. Coś musiało być w tym prawdy, gdyż nawet jeśli student dobrze znał teorię i zasady poruszania się w gąszczu ustaw i rozporządzeń – bywał „ścięty” na pytaniach szczegółowych. Rzadko kto miał szczęście, że pytanie akurat dotyczyło wykutego na pamięć tematu. Tak więc – choć pozostałe cztery przedmioty (zdawane tego samego dnia) przyniosły nam czwórki i nawet piątkę – administracyjne prawo zatrzymało nas na lato w domu. Egzamin ten zapamiętałem tak dobrze, gdyż mimo że należało zdawać go we wrześniu, mieliśmy dość szczęścia, by wraz z Ignacym cało powrócić z wojny, zgłosić się do profesora jeszcze w początku listopada i uzyskać trójkę w indeksie, ledwie na kilka tygodni przed zamknięciem uniwersytetu przez Litwinów. To zaś umożliwiło mnie i nielicznym kolegom, którzy akurat znaleźli się w Wilnie, skorzystać z uchwały senatu USB i otrzymać dyplomy magisterskie o rok wcześniej. Oczywiście warunkiem było zdanie wszystkich przepisanych programem egzaminów. Odbierając je już na tajnym uniwersytecie składaliśmy przysięgę, że ujawnimy je dopiero po zakończeniu wojny i to tylko przed władzami wyzwolonej Ojczyzny. Taki też dyplom otrzymałem z datą 17 grudnia 1939 roku, opatrzony godłem RP – orła z koroną oraz wielką pieczęcią Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Było to w przeddzień zlikwidowania naszej Alma Mater przez władze Republiki Litwy. W indeksie mam natomiast zapisane wyniki wszystkich przewidzianych programem egzaminów zdawane już w roku 1940, w ówczesnie już tajnie działającej uczelni (i to z wynikiem dobrym lub bardzo dobrym) z klauzulą, że „z powodu warunków wojennych dyplom nie mógł być wydany”.

Było upalnie, słońce świeciło przez niemal wszystkie dni sierpnia. Trudno było skupiać się nad skryptem. Tym bardziej, że równocześnie, radio i gazety zaczęły przynosić coraz to bardziej niepokojące wieści. 28-go dowiedzieliśmy się o ogłoszeniu mobilizacji. Ignacy i ja oraz mój brat stryjeczny – Adam (właśnie po uzyskaniu absolutorium z medycyny) zgłosiliśmy się natychmiast do PKU z prośbą o powołanie w charakterze ochotników, gdyż służbę wojskową mieliśmy odłożoną na czas po ukończeniu studiów. Uważaliśmy się jednak za przygotowanych do wojska gdyż w gimnazjum przerobiliśmy regularne szkolenie w przysposobieniu wojskowym, zwanym PW, a także na ćwiczeniach polowych w wojskowej formacji uniwersyteckiej, o nazwie Legia Akademicka. W Komendzie Uzuppełnień zanotowano nasze personalia a także zgłoszone kwalifikacje i kazano nam czekać.

29-go sierpnia doręczono nam do domu nakaz rekwizycji samochodu, który w nieobecności ojca był pod moją opieką i w tym czasie służył do odwożenia Mamy do Gulbin, gdzie właśnie przebywała. Przez telefon kazała mi dostarczyć samochód na miejsce odbioru i telegraficznie zawezwać ojca do powrotu. Depesza ta, wydrukowana na lotewskiej maszynie, zachowała się i wraz z Kurierem Wileńskim datowanym w piątek 1 września 1939 jest złożona wraz z innymi ważnymi pamiątkowymi dokumentami. Granatowy polski Fiat 508 został odstawiony na wezwanie i nigdy go więcej nie widzieliśmy.

Ojciec powrócił do domu w czwartek, ostatniego dnia normalnego świata i dojechał ostatnim, normalnie co do minuty kursującym pociągiem. Tego też dnia listonosz doręczył ojcu kartę mobilizacyjną, a Mama zaczęła pośpiesznie czyścić, prasować i nieco przerabiać, od bardzo dawna wiszący w szafie, jeszcze nie noszony mundur wojskowy z dystynkcjami majora-lekarza.

Następnego ranka dowiedzieliśmy się z radia, że wojna się rozpoczęła. Odłożyliśmy skrypty na bok i udaliśmy się do PKU, gdzie ja natychmiast zostałem przydzielony do działu nasłuchu w rozgłośni Polskiego Radia. Okazało się, że moje wezwanie było już nawet przygotowane, bowiem ze złożonej w sierpniu ankiety wyciągnięto okoliczność, że znam biegle trzy zachodnie języki. Ignacy również dostał przydział, a Adam dostał się do szpitala. Zgłosiłem się wedle rozkazu do rozgłośni. Nasłuch zorganizowano w pokojach Banku PKO przy ulicy Mickiewicza. Z mego okna na i piętrze mogłem wzrokiem objąć plac Orzeszkowej, a za nim pomiędzy drzewami nasz dom na rogu ulicy Cichej.

Otrzymałem do pracy biurko, na którym stał ogromny odbiornik radiowy firmy Elektrit o nazwie „OCEANIC”. Był to aparat skonstruowany dla celów wojskowych, o niezwykle selektywności i zasięgu, głównie zresztą na krótkich falach. Pierwszy raz oglądałem tak wspaniałe radio. Po pośpiesznym poinstruowaniu polecono mi zanotować położenie na skali nadajników w Londynie, Paryżu i Berlinie i ustalić godziny nadawania komunikatów. Usłyszane wiadomości miałem notować już po polsku na przygotowanym bloku listowym z kalką i zaraz wzywać łącznika, który odnosił moje notatki do redakcji. Czasem zgłaszał się któryś z redaktorów i prosił o wyjaśnienie, względnie nakierowanie uwagi na szczególne audycje. W sąsiednim pokoju siedział tłumacz z języków litewskiego i lotewskiego oraz osobno – z rosyjskiego. Ten miał pracę najłatwiejszą, bo słuchał na długich falach niezwykle mocnej stacji w Mińsku i tym samym nie miał żadnych zniekształceń w odbiorze. Pamiętam dobrze, jak wpadał do nas zaniepokojony, że co pewien czas nie może zrozumieć nadawanego tekstu. Po dyskusji, jako żeglarze założyliśmy, że mogłyby to być zakodowane informacje dla lotnictwa, które posługiwałoby się w nawigacji namiarem kąta położenia tej rozgłośni lub też przekazy wojskowe. Mimo to nic nie wywołało u nas podejrzeń.

Dość szybko opanowałem odnajdywanie „moich” stacji. Przez pewien czas sprawiało mi trudność przeskakiwanie z języka w język. Początkowo słuchałem tylko audycji rodzimych, stopniowo jednak i Anglicy i Francuzi zaczęli nadawać je po polsku. Oczywiście po odkryciu tego praca stała się łatwiejsza i więcej mogłem przekazać tekstu. Szybko jednak zgłosił się do mnie redaktor (o ile pamiętam Wiktor Trościanko), nakazując relacjonowanie z języków krajowych, gdyż jak się okazało polskojęzyczne komunikaty różnią się od lokalnych i są znacznie bardziej „bojowe”.

Praca w dziale nasłuchu trwała cały dzień do późnego wieczora, gdyż nie znaleziono dla mnie zamiennika na wszystkie trzy języki równocześnie. Wpadałem do domu, by coś zjeść i podzielić się wiadomościami. Te były coraz gorsze. Kolejno milkły radiostacje w Poznaniu, Krakowie i Łodzi. Za to na tych samych falach odzywały się audycje nadawane przez Niemców. Co pewien czas ustawał odbiór Warszawy. Ciągłe słyszeliśmy komunikaty: „Uwaga, uwaga! Nadchodzi” – i dalej szyfr oznaczający położenie nadlatujących samolotów. Z przekazywanych w radio i prasie komunikatów wojskowych trudno było stworzyć sobie obraz położenia frontu i akcji naszych wojsk. Niewiele też pomagał w rozeznaniu mój nasłuch. Czasem jakąś nadaną w Polsce wiadomość powtarzały kolejno sojusznice radia i wiadomo było, że źródło pochodzi od nas. Konfrontacja z wiadomościami z Berlina dawała zawsze inny, bardziej gorzki i jak byliśmy przekonani kłamliwy, propagandowy obraz. Mimo tego miałem rozkaz pilnego śledzenia komunikatów niemieckich. Z rozmów z sąsiadami okazało się, że najbardziej konkretne i spójne informacje uzyskuje się z nasłuchu litewskiego i lotewskiego. Ten ostatni w znacznym stopniu opierał się na cytowanych z nazwy agencji skandynawskich. Praca w tak bliskim kontakcie z redakcją sprawiała, że atmosfera pośpiechu i nerwowości bardzo się nam udzielała. Wszystkie informacje siłą rzeczy nadchodziły do

nas z kilkugodzinnym wyprzedzeniem, a wileńskie dzienniki drukowały to, co my już wiedzieliśmy wczoraj. Po kilku dniach wojsko uruchomiło w różnych punktach miasta sieć głośników, połączonych również z nami, toteż mogliśmy korzystać z mikrofonu i nadawać bieżąco uzyskane komunikaty. Z okien widzieliśmy słuchające nas tłumy i śledziliśmy ich reakcję. Wobec pozytywnego odbioru naszych własnych komunikatów, opartych na „optymistycznych” informacjach z Zachodu o działaniach na linii Maginota, o nalotach alianckich na Zachodnie Niemcy, o krążeniu floty angielskiej w pobliżu baz niemieckich – zaczęliśmy nadawać krótkie audycje o regularnych godzinach. Działo się to jednak już tylko w kilku ostatnich dniach przed 17 września.

Nie umiem dziś podać daty, ale w połowie września zamilkła ostatnia polska rozgłośnia – we Lwowie. Została jeszcze tylko wileńska, o chyba dość dużym zasięgu krajowego odbioru. Wszyscy czuliśmy ciężar odpowiedzialności, gdyż zdawaliśmy sobie sprawę, że w całym kraju, kto tylko może, nas właśnie słucha.

Wszędzie w mieście wykopano rowy, w których należało się schować w czasie ewentualnego nalotu. Chodziły patrole cywilne z odznakami, gotowe do pomocy w czasie odgruzowywania i gaszenia pożarów. Imponowała samorzutna organizacja i wykazywana inicjatywa. Informacje o tym dochodziły do naszego punktu nasłuchu, bo stale odwiedzali nas koledzy w roli gońców przekazu komunikatów i głodni dobrych nowin. My tkwiliśmy przy naszych ogromnych odbiornikach i intensywnie staraliśmy się rozróżnić chrypiące i zanikające słowa odległych speakerów, pracujących jak my, lecz w jakże innych warunkach i nastrojach. Ich kraje nie były jeszcze pod naporem ataku. Czas naszej pracy wydłużał się nieskończenie i wobec tego rozmieściliśmy w naszych pokojach kozetki do spania w razie konieczności. Również zorganizowano nam dostawę żywności, nie musieliśmy więc wychodzić na posiłki. Z domem utrzymywałem kontakt telefoniczny.

Lotnictwo niemieckie w zasadzie oszczędzało Wilno. Pamiętam nalot na lotnisko w Porubanku w pierwszym dniu wojny. 14 września obrzucono bombami nadajnik radiowy. Wówczas sieć magnetofonów bardzo się przydała. Wydaje mi się, że wkrótce szkody naprawiono i rozgłośnia Polskiego Radia znów powróciła do nadawania własnych audycji. Nie jestem jednak pewien, czy zakres odbioru pozostał w tej samej mocy.

Ojciec był szefem wojskowego szpitala, utworzonego w jego uniwersyteckiej klinice chirurgicznej. Mama powróciła do pracy w klinice ginekologicznej na Bogusławskiego, gdzie prowadziła oddział noworodków. Dzieci rodziły się jak zwykle. Najbardziej niepokoiło ją zagrożenie wybuchem epidemii. W czasie i wojny była bowiem przydzielona do szpitala zakaźnego w Krakowie, gdzie wówczas szalała czerwonka i tyfus. Do kliniki chirurgicznej napływali pierwsi ranni, dowożeni z wciąż jeszcze odległego frontu.

Wczesnym rankiem 17 września tłumacz z nasłuchu radiostacji mińskiej wyłowił przemówienie Mołotowa, wkrótce nadane także po polsku. Wybuchł popłoch. Redaktorzy biegali po teksty, a ja szukałem na skali wypowiedzi aliantów. Po paru godzinach Londyn przekazał treść protestu ambasadora Grzybowskiemu w Moskwie.

W tym czasie dotarł do rozgłośni rozkaz mobilizacyjny dla Legii Akademickiej. Zbiórkę zarządzono w domu akademickim na Górze Boufałowej na godzinę 12.00. Był to ostatni komunikat jaki usłyszałem w Wilnie. Jak się dużo już później dowiedzieliśmy rozkaz ten opublikowało „Słowo” w dniu następnym, ze zmienioną godziną zbiórki na 7<sup>30</sup> rano. A wówczas byliśmy już dawno w drodze.

Zwolniłem się ze służby w radiostacji i pogoniłem do domu, skąd nadałem telefoniczną kurendę do wszystkich kolegów. Ignacy Jeśman i mój brat stryjeczny Adam byli w bezpośrednim zasięgu, toteż razem udaliśmy się na zbiórkę. Tam spotkał nas wyznaczony dowódcą naszego zgrupowania porucznik Tomasz Zan, który oświadczył, że mamy pod jego komendą ruszyć na obronę Warszawy, a w drodze konwojować i za wszelką cenę bronić transportu skrzyń z niezwykle cennymi, tajnymi dokumentami. Znałem ze słyszenia por. Zana, był on bowiem popularną postacią w mieście i wieść głosiła, że pracował w II Oddziale.

Zebrało się nas koło czterdziestu. Pomaszerowaliśmy już w kolumnie do magazynu mob. W gmachu dyrekcji kolejowej na Wiwulskiego, gdzie mieliśmy wyfasować umundurowanie i broń. Magazyn był niestety bardzo przebrany. Zdołałem dopasować oficerskie spodnie – bryczesy, do których dobrałem owijacze i bardzo ciasną kurtkę, mającą do tego zbyt krótkie rękawy. Butów nie dobrałem, wszystkie numery były zbyt małe, toteż wyruszyłem w drogę we własnych narciarskich, z doskonałej skóry i na mocnej podeszwie. Za to, dostałem dobrą w porównaniu z innymi broń: parabellum z 25 nabojami, karabin mauzer sprzed i wojny z zaledwie kilku nabojami oraz jeden granat, który umieściłem w chlebaku. Przydzielono mi jako posiadającemu prawa jazdy wspaniałą nowiutki motocykl z pełnym bakiem paliwa, piękny BMW 350, z napędem z wału kardana błyszczącego nowym niklem. Adam dostał co prawda gorszą broń, za to motocykl Sokół 600 z przyczepą, w której wygodnie umościł się Ignacy. Na moim tylnym siodełku jechał Iguś Nitosławski, z którym byliśmy w jednej drużynie harcerskiej – Błękitnej Jedynce. Dostał on niestety jakiś bardzo archaiczny karabin, o niezwykle długiej lufie. Z innych kolegów przypominam sobie Staszka Bogusławskiego,

Mietka Nitosławskiego – brata Iguśia, Zenka Lewińskiego, Heńka Lachowicza, Władka Wielhorskiego. Choć do dziś widzę i inne postacie – ich nazwiska zatarły mi się w pamięci.

W taborze oddziału znalazł się jeszcze samochód Opel OLYMPIA, który poprowadził porucznik Zan. Prócz niego zajął w nim miejsce komandor Piotrowski z marynarki wojennej, jakos pozostali w Wilnie oraz młody podporucznik, którego podejrzewaliśmy, że zakamuflował swe nazwisko – Jan Kowalski. Na koniec dołączono do grupy dwa parokonne wozy, załadowane skrzyniami, na których szczelnie zarzucono koce. Powozili nimi ci spośród nas co wywodzili się ze wsi. Z pod jednego koca wysuwała się bardzo długa i znacznej średnicy lufa. Okazało się, że była to tajna broń, dotąd nie pokazywana w uzbrojeniu, rusznica przeciwpancerna na licencji szwajcarskiej. Niestety mieliśmy tylko dziesięć naboí.

Wymarsz wyznaczono na godzinę siedemnastą. Zdążyliśmy z Adamem wpaść do domu i pożegnać się z rodzicami. Byli wzruszeni i pełni obaw, ale nie zgłosili żadnych obiekcji co do przyłączenia się do oddziału. Mama zaopatrzyła nas, w jej zdaniem konieczny na wojnę ekwipunek – papier toaletowy. Obaj dostaliśmy po paczce. Jako lekarz z i wojny pamiętała o czerwonce. Ojciec dał nam opatrunki i pieniądze. Odchodząc staraliśmy się nie odwracać głowy.

Kierunek naszej kolumny wyznaczono na Puszcę Rudnicką. Mieliśmy tam zatrzymać się w jakiejś leśniczówce. Szybkość posuwania oddziału wyznaczało tempo marszu największej grupy, czyli pieszych, podobnie jak szybkość floty narzuca najwolniejszy okręt. Pierwszy jechał Opel. Ponieważ nie mógł jechać na pierwszym, a najwyżej drugim biegu – wysuwał się do przodu i przystawał. Nam motocyklistom wyznaczono jazdę na samym końcu kolumny. Adam na Sokole z przyczepą jakoś sobie radził, ja natomiast na solówce, z Iguśiem na tylnym siedzeniu, przy tak wolnej szybkości, z trudem utrzymywałem równowagę na piaszczystej i porytej głębokimi koleinami drodze. Tam też nastąpiła katastrofa. Zachwialiśmy się i broniąc się przed przewróceniem oparliśmy się nogami o piasek. Iguś stracił niestety równowagę i chyląc się na lewy bok wsadził lufę swego karabinu pomiędzy szprychy tylnego koła. Ja akurat dodawałem gazu. Usłyszałem chrzęst wyginających się szprych i trzask wału kardana. I na tym skończyła się nasza jazda. Było to koło lotniska na Porubanku, czyli około dziesięciu kilometrów od miasta. Porucznik Zan podbiegł do nas i widząc co się stało dał nam rozkaz odstawienia motocykla do jednostki na lotnisku za pokwitowaniem, a potem dogonienie szybkim marszem oddziału, który ma wyznaczony odpoczynek w leśniczówce w Puszczy Rudnickiej. Nazwy nie pamiętam. Musieliśmy dopchać motocykl przez parę kilometrów, zdobyć pokwitowanie, to zaś zabrało sporo czasu i obciążeni ekwipunkiem i bronią ruszyliśmy na poszukiwanie oddziału. Było już ciemno. Na szczęście niebo było bezchmurne i świecił księżyc. Drogi nie znał ani Iguś, ani ja. Mapy nie mieliśmy. Uratował nas Ignacy Jeśman i Adam. Na każdym skrzyżowaniu leśnej drogi, systemem harcerskim zawieszali na gałązkach po listku papieru toaletowego. Po takim śladzie szliśmy jak po sznurku. Do leśniczówki dotarliśmy dobrze po północy. Oddział dostał w tym czasie kolację i nieco pospał. My dwaj ledwo zdążyliśmy wziąć nieco prowiantu na dalszą drogę i bez odpoczynku wyruszyliśmy zaraz dalej.

Maszerowaliśmy aż do wieczora. Najpierw lasem, potem bocznymi drogami. W leśniczówce pozostał Opel i Sokół, dowódca bowiem orzekł, że robią zbyt wiele hałasu na niskich biegach, a i benzyny nie starczy. Rzeczy z samochodu i przyczepy motocyklowej przerzucono na wozy, a my ciągnęliśmy za nimi, z wyjątkiem paru z nas wysłanych jako czujki do przodu. W taki sposób dotarliśmy do Oran. Była to bardzo długa wieś, skupiona przy jednej przelotowej ulicy. Przemaszerowaliśmy od Wilna dużo ponad 50 kilometrów. Pamiętam uczucie potwornego zmęczenia. Nie mieliśmy żadnego treningu, nogi mieliśmy otarte do krwi, skarpetki w strzępach. Ostatnie godziny maszerowaliśmy w półśnie, podtrzymując się wzajemnie. Nie wiem co by się stało gdybyśmy natrafili na nieprzyjaciela.

Gdzieś pod wieczór dołączyliśmy do jakiejś większej grupy wojsk. Była tam również artyleria. Dostaliśmy rozkaz zajmowania kwater w domach przydrożnych. Dla nas wypadło to gdzieś w środku wsi. Za nami jakieś oddziały, które pojawiły się jak spod ziemi, zajęły ostatnie budynki we wsi. Rzuciliśmy się pokotem wprost na podłogę zasypiając natychmiast. Nad ranem zbudziły nas strzały karabinowe. Podniesiono alarm i wysypaliśmy się na ulicę. Podobno na końcu wsi jacyś cywile zaczęli strzelać do śpiących żołnierzy. Strzelanina za nami zwiększyła się, lecz po chwili ustała. Znacznie później dowiedzieliśmy się, że wówczas od strzałów dywersantów zginęli nasi koledzy: Jerzy Zawadzki, syn ziemianina z majątku Joda i Leszek Szelałowski, jeden z najzdolniejszych naszych kolegów, syn kuratora wileńskiego.

Ustawiono nas w kolumnę wśród innych oddziałów i pomaszerowaliśmy dalej na południowy zachód. Dwa wozy ze skrzyniami, które mieliśmy tak pilnie chronić ciągnęły konie otoczone naszymi kolegami. Zazdrościliśmy woźnicom, którzy nie musieli dźwigać karabinów, a tylko wygodnie siedzieli na sianie.

Następny nocleg wypadł nam przy stacji kolejowej Marcinkańce. Przez cały dzień marszu nie napotkaliśmy żadnych wojsk, ani naszych, ani nieprzyjaciela. Jakby nie było wojny. Słońce grało,

pogoda przepiękna. Lekkie chmurki na niebie i nieco wiatru przydawało ochłody. Marsz był jakby mniej wyczerpujący i naturalnie krótszy. Trochę łatwiej niosło się karabin, zaczęliśmy też rozmawiać. Poprzedniej nocy i dnia cała kolumna posuwała się w kompletnym milczeniu. Teraz stawiano pytania, choć nie znajdowano odpowiedzi. To tak wygląda wojna? Posuwanie się po pustym terenie? Bez huku armat i strzałów karabinowych? Nawet samolotów ani widać ani słyszeć. Po prostu znajdowaliśmy się w rejonie jakby opuszczonym z wojsk. Widzieliśmy tylko od czasu do czasu przerażone twarze starych rolników, czasem chowające się kobiety, które na widok naszych mundurów wynurzały się z ukrycia.

Staliśmy na noc w jakiejś biednej chałupie. Wyznaczono warty. Izba, w której złożyliśmy nasze rzeczy nie miała podłogi, tylko klepisko. W kącie stał wielki piec chlebowy. Gospodyni przyniosła nam grube pajdy chleba i mleko. Jeden z naszych, wyznaczony prowiantowym porzodził każdemu kawałek kielbasy i słoniny. Gospodarz, kulawy starszy chłop, patrzył na nasz przydział z wyraźną zazdrością.

– Chce pan kielbasy?

– Jeśli panowie łaskawi...

Dziwnie, nie byliśmy głodni, mimo że od rana nic nie mieliśmy w ustach. Gdzieś po drodze napiliśmy się wody do syta. Oczywiście podzieliliśmy się kielbasą i na zrzutkę przekazaliśmy słoninę. Nie byliśmy jeszcze przyzwyczajeni.

Chłop zaczął rozmowę śpiewną wschodnią gwarą: „Coś niedobrze z tą wojną. Mówili, że Niemcy już blisko, a i ruskie tu idą. Co będzie z nami? Ale tak jak było to być więcej nie może. Panowie, jak można wyżyć z tego kawałka pola, a pracy żadnej. A jakaż niesprawiedliwość! Ten tam we wsi ma pole i jeszcze na kolei pracuje, bo ma znajomość. Panowie, on co miesiąc 10 złote dostaje, takie bogactwo! a ja starał się i nic. Mówią – kulawy, to nie do pracy. I tak człowiek ginie w tej nędzy. Jak ma być taka Polska, to niech rozbiorą...”

Pierwszy raz zetknęliśmy się z taką nędzą i beznadzieją. Nie wyglądało na to, by chłop był leniwy, czy niezdolny. Mówił spokojnie i bez emocji. Po prostu narzekał na swój los. Rozmowa z nim zapadła mi w pamięć głęboko. Mieliśmy uczucie, że nas coś gniecie. Wyrzuty sumienia? Byliśmy na tyle zmęczeni, że zasnęliśmy w stodole na sianie niemal natychmiast. Co kilka godzin jednego z nas budzono i stawiano na warcie.

Rano 21 września pobudka niemal o świcie. Ochlapaliśmy się pod studnią i dowiedzieliśmy się, że zaraz odbędzie się załadunek na pociąg na stacji, bo właśnie przyjechała skądś lokomotywa. Na rampie duży tłok. Konie, zaprzęgi, działa, wozy taborowe, mnóstwo piechoty. Zupełnie nie wiadomo skąd to wojsko się wzięło. Czujemy się wreszcie w większej grupie. Prawdziwy pułk. Również widać oficerów, wśród nich wyższe szarże. Nasz dowódca pertraktuje z nimi. Mówi nam, że przyłączamy się do transportu pułku piechoty, który jest przeznaczony na wsparcie obrony Warszawy. Kolejarze przesuwają wagony i tworzą skład, podając go pod rampę. Z niej wprowadzają konie do wagonów krytych, a na otwarte lory ludzie wtaczają działa i wozy. Ruch ogromny. Rozkazy przekazywane są głośnym krzykiem, żołnierze biegają to tu tam, przenosząc jakieś polecenia. My stoimy skupieni w naszym oddziale czekając na pozwolenie załadowania naszych wozów i nas samych. Podziwiamy organizację i zaopatrzenie. Są nawet dymiące kuchnie polowe. Wreszcie pada rozkaz załadunku. Zajmujemy dwie lory, na jednej zresztą już jest załadowane działo wraz z załogą. Nasze konie wraz z woźnicami jadą w wagonie obok, nie krytym, a w zwykłej węglarce. Jeszcze trochę hałasu, bieżaniny i zamieszania i oto lokomotywa wydaje gwizd i za chwilę ogromnie długi pociąg rusza.

Jesteśmy szczęśliwi. Nareszcie w prawdziwym wojsku i w końcu naprawdę idziemy wojować. Jedzie się wspaniale. Wiatr chłodzi, koła stukają na złączach rytmicznie, krajobraz zmienia się szybko, po bokach migają domy, pola i lasy. Po paru godzinach dojeżdżamy do Niemna. Pociąg zwalnia bieg na bardzo długim i wysokim moście. Już widać stację w Grodnie. Wjeżdżamy powoli i nagle pociąg gwałtownie staje. Znowu przeciągły gwizd i pełną parą ruszamy wstecz, z powrotem przez most. Maszynista pędzi jak zwariowany. Przecież lokomotywa jest na końcu długiego pociągu, nie na początku. Co on może zobaczyć? Jeszcze nastąpi zderzenie.

Stacja Boguszewka. Pociąg hamuje i staje. Oficerowie zaczynają biegać wzdłuż pociągu. Pada rozkaz natychmiastowego rozładowania wagonów. Wyjaśniają nam, że południowo-zachodnie przedmieście Grodna właśnie zajmuje wojsko bolszewickie. To kolejarze na dworcu kazali maszyniście lokomotywy dać pełną parę wstecz, gdyż nasz pociąg z zaskoczonym wojskiem mógłby wpaść w pułapkę.

Porucznik Zan każe nam sformować oddział tuż za artylerią, przed którą idzie piechota. Za nami tabory i jakieś inne formacje. Forsownym marszem idziemy na północ z małym zboczeniem na zachód do oddalonej o 10 kilometrów wioski Hoża. Tam na Niemnie jest podobno bród, brzegi rzeki są raczej płaskie, w przeciwieństwie do wysokich na całym biegu Niemna w dół od Grodna.

Przechodzimy przez dużą wieś. Jakies dwa kilometry za nią skrzyżowanie i leśny trakt na zachód. Jeszcze trochę marszu i zatrzymujemy się w zadrzewionym terenie. W perspektywie drogi widać pontonowy most na który tłoczy się mnóstwo wojsk. Oficerowie starają się uregulować napierający

tłum. Najtrudniej jest z końmi, które ploszą się w zaprzęgach. Żołnierze trzymają konie przy pyskach i starają się spokojnie przesuwać po uginających się deskach rozłożonych na pontonach. Jest już koło czwartej. Zdajemy sobie sprawę, że w tym tempie nie uda się nam przeprowić na drugą stronę przed zapadnięciem ciemności.

Nagle słyszymy zbliżający się huk silników. To samoloty. Popłoch dokoła. Tak jak przed chwilą wszyscy tłoczyli się do mostu, tak nagle droga opustoszała, a z naszego brzegu parę pontonów jest zupełnie wolnych. Żołnierze i wozy na moście zwiększają tempo, by jak najszybciej znaleźć się na drugim brzegu. Pośpiech nie wystarcza. Przebyć dwieście metrów po uginających się belkach to dziesięć razy dłużej niż przebycie przez samoloty trasy od usłyszenia ryku motorów.

Skrywamy się pod gęstym młodniakiem, przez który widać cienie pikujących maszyn. Spadają bomby tworząc gejzery wokół mostu. Gęsto od nich. Żadna jednak nie trafia w most. Za to wpadają w wodę konie, ciągnąc za sobą wozy i armaty. Rzeka jest głęboka, a nurt mimo rozlewu wartki. Przez gałęzie widzimy ludzi rzucających z brzegu liny tym co są w wodzie, jakaś wielka gmatwanina, krzyki...

Czy ktoś widział co to za samoloty? Na pewno niemieckie, Rosjanie chyba ich nie mają. Pewnie Sztukasy, bo nurkują i okropnie wyją. Podobno mają zamontowane potężne głośniki pod skrzydłami, które ryczą głośniejsz niż silniki i sieją wśród tych tam na dole strach i przerażenie. Taki dodatkowy bojowy czynnik psychiczny.

Wszystko to trwa ledwie kilka minut. Może nawet kilkanaście. Lecz wystarczyło byśmy poczuli pierwszy namacalny wiew wojny. Nalot nie powtórzył się więcej. Nasza kolejka do przekroczenia rzeki wlokła się nieskończenie. Wreszcie już po ciemku, w ordynku, przeprowiliśmy się przez most, chroniąc nasze konie, a przede wszystkim ten cenny ładunek co go mieliśmy strzec jak oka w głowie. Już jesteśmy bezpieczni po drugiej stronie. Tu droga jest rozjechana, błotnista, nogi zapadają się w mazi z mokrej gliny i piachu. Idziemy po ciemku i odrywamy się od maszerujących na Sopoćkinie pułków, skręcając w pierwszą drózkę w prawo, prowadzącą do wsi Jaćwież. Jest skomasowana. Gospodarstwa są rozrzucone na dużej przestrzeni. Dowódca zdecydował, że tam łatwiej znajdziemy nocleg. Wszystko na zachód na pewno pozajmowane. I rzeczywiście, znajdujemy po drodze gospodarstwo z względnie wolną stodołą. Snopy zboża równo ułożone do samego dachu, trzeba drapać się po drabinie.

Znajduję jakiś ką na mięciutkim pachnącym sianie, pozwolono mi spać, wartę pełnią koledzy. Dopiero teraz czuję zmęczenie wszystkich poprzednich dni. Zapadłam w sen, jak w domu. Zbudził mnie blask, bo hałasu nie słyszałam wcale. Obok, bardzo blisko, palił się stóg siana. Gdzieś daleko karabiny grały synkopowanym stukotem, a co kilka chwil dudnił bas strzału artyleryjskiego. Rwą się serie z karabinów maszynowych, a akompaniuje temu głuchy bo odległy, przeciągły chrzęst motorów. Na ciemnym niebie rysują się wygięte linie świetlnych pocisków.

Skąd nagle bitwa? Tak było spokojnie. Prócz samolotów nad brodem nie widzieliśmy żadnych ruchów nieprzyjaciela. Pewnie Niemcy wymacali nas podczas przeprowy. Stąd do Prus Wschodnich jest rzeczywiście blisko. Nie ma jednak czasu na rozmyślanie. Dowódca wydaje rozkazy rozmieszczenia się w polu. Wyciągamy naszą tak chronioną rusznicę przeciwpancerną, dobrze okopujemy, rozstawiamy widełkowate podpórki i przygotowujemy naboje. Przed nami na zachód teren wznosi się łagodnie. Na styku z niebem, plami horyzont grzebień kępy leśnej. Jest trochę przed świtaniem, na wschodzie skraj ziemi jest ostrzej widoczny.

Wokół rozpoznajemy, że nie jesteśmy sami. Jest sporo wojsk, widocznie także rozlokowanego na noclegu. Ziemia jest ubita, sucha, same rżyska, bo zboże zwieziono, a deszczu nie było od dawna. Gdzieś z boku pasą się konie. Najbliżej nas szczybie trawę para koni zaprzężonych do jaszczaka, który ciągną za sobą. Armata została z boku, nieco dalej. Obserwujemy co się przed nami dzieje. Na wyżynie rozpoznajemy zbliżające się cienie czołgów. Są jeszcze daleko, ale coraz wyraźniej słychać motory. Spoglądamy na armatę, która wciąż jest bez obsługi. Wołamy bezskutecznie. Wobec tego sami podchodzimy i staramy się obrócić ją lufą w kierunku czołgów. Kieruje nami porucznik Kowalski. Koledzy donoszą z jaszczaka pociski. Z zainteresowaniem oglądamy jak nabój daje się wsunąć w komorę. Szczęk zamka i równocześnie lufa zaczyna się to podnosić to opadać. To któryś z naszych „mechaników” kręci kółkiem. Czołgi są o jakiś kilometr. Strzał. Oczywiście nie trafiony. Ponowny strzał i zaraz trzeci. I oto z jednego czołgu bucha płomień. Pozostałe stają i zaczynają się cofać. Naturalnie nie mamy pojęcia, czy to właśnie z naszego strzału czołg został trafiony. Wojsk dokoła pełno i strzelanina gra całą orkiestrą. My za to cieszymy się choćby z naszej inicjatywy, jeśli już nie ze skuteczności działania.

Strzelanina trwa wiele godzin. Wszystko jednak dzieje się w odległości, chyba koło Sopoćkiń, od nas dobre pięć, a może i dziesięć kilometrów. Tkwimy ciągle w tym samym miejscu, okopując się i czekając co dalej. Po południu zaczyna się dramat. Z naszej lewej strony zaczyna biec piechota, kawaleria i w coraz to większym nieporządku oddziały, a nawet pojedynczy żołnierze. Wszyscy podążają na północny wschód. Porucznik Zan zarządza zbiórkę, każe zlikwidować rozstawioną broń i daje rozkaz cofania się za uciekającymi w popłochu pułkami. Wracamy na naszą wczorajszą drogę, przekraczamy Kanał Augustowski i wchodzimy w lasy. Mamy iść na Giby, gdzie ppor.

Kowalski ma rodzinę. Tam postanowimy co dalej. Droga prowadzi przez gęste lasy. Mamy do pokonania około 50 kilometrów. W drodze spotykamy wracających do domu żołnierzy z rozbitego pod Sopoćkiniami pułku. Z jednym z nich zamieniam się na mundurową kurtkę. Jest o wiele większa, nowa, na nim zwiisała okrutnie, a na mnie jest w sam raz.

Z wymiany informacji wynika, że bój wcale nie był z Niemcami, a z oddziałami sowieckimi. Przewagę dała im broń pancerna, której nasze oddziały w ogóle nie posiadały. Początkowe starcia z piechotą zapewniły nam równowagę, a nawet przewagę. Podobno jednak nadszedł rozkaz naczelnego wodza, by z Sowiecami nie walczyć, tylko bronić się w razie konieczności. Stąd takie załamanie i popłoch. Od tej chwili słyszymy coraz częściej o konieczności przejścia na Litwę, granica jest tuż-tuż. My wściekamy się. Jakże to, Warszawa wciąż walczy, na pewno jest tam armia, naczelnny wódz wreszcie musi zorganizować kontrofensywę. Nie będziemy uciekać, a konsekwentnie iść na pomoc. Co prawda jak dotąd nie udało się nam ani razu wystrzelić do wroga, nie licząc tych kilku strzałów armatnich, co do których też nie byliśmy pewni czy trafiły. Na razie jednak maszerujemy i zmęczenie uśmierza rozmyślanie. Co więcej, od wczoraj nic nie jedliśmy, nie mamy w ogóle zorganizowanej kuchni ani zaopatrzenia. Ostatni raz otrzymaliśmy chleb przed przeprawą w Hożej.

Tak przeszły dwa dni marszu. Szliśmy jakimiś dróżkami w lesie, co pewien czas dochodząc do rzeki lub jeziora. Rankiem, na skraju lasu, porucznik Zan zarządza zbiórkę i oświadcza, że wobec zaistniałej sytuacji postanowił przedostać się na Litwę. Nie ma szans na zorganizowanie obrony, szczególnie wobec otoczenia nas przez wojsko sowieckie, a zapewne także nie odległe – niemieckie. Po prostu znaleźliśmy się w matni. Przekroczenie granicy litewskiej – to jedyne logiczne rozwiązanie. Wtedy dopiero okaże się, pozyskując więcej informacji, co można jeszcze uczynić. Tu jesteśmy bezradni. Na naszych oczach duże zgrupowanie polskich wojsk uległo rozbiciu i rozproszeniu pod Sopoćkiniami. Przez dwa dni marszu nie natknęliśmy się na żadne zorganizowane oddziały. Dlatego też rozwiązujemy naszą formację i zezwala każdemu zdecydować co czynić dalej, wedle własnego rozeznania.

Podniósł się szum. Nie po to szliśmy na Warszawę, aby po tylu dniach marszu zrezygnować ze starań osiągnięcia celu. Poparł nas ppor. Kowalski. On na Litwę nie pójdzie. Giby są już nie daleko. Tam mieszka jego matka, na pewno słucha radia, prócz tego przez Giby prowadzi główna droga z Augustowa na Sejny, czyli właśnie prowadząca do granicy litewskiej. Tam więc na pewno uzyskamy informacje, które pozwolą nam na podjęcie wyważonej decyzji. Tutaj jest jeszcze za wcześnie.

W tym momencie dostrzeżliśmy na szosie zbliżające się pięć czołgów. Pada rozkaz: „Rozproszyć się! Kryć się! Spotykamy się wszyscy pod tamtym majakiem!” Po drugiej stronie szosy, stał na wzniesieniu znak triangulacyjny, otoczony gęstymi zaroślami. Odległość była niewielka, może z parę kilometrów. Rzuciliśmy się pojedynczo w gęsty młodniak. Wydawało się, że czołgi skręcają w naszą stronę, zjeżdżając na rżysko. Rozległy się strzały karabinu maszynowego. Widziałem jeszcze porucznika Zana jak zacina konie i zawraca w dróżkę, którą przyjechaliśmy. Wóz pognał skacząc po korzeniach wraz z tymi cennymi skrzyniami i naszą dumną rusznicą. Z niej, co prawda, nie było już pożytku, gdyż pozostało tylko parę naboí. I to był ostatni raz, gdy widzieliśmy naszego dowódcę. Spotkałem go, dokładnie co do miesiąca, po czterdziestu latach w Warszawie. Był już wtedy pułkownikiem.

Dotarcie pod ów „majak” zabrało mi ponad dwie godziny. To zdumiewające, że rozpraszając się i idąc w pojedynkę, nie widzieliśmy jeden drugiego. Na miejscu zastałem już kilku kolegów, lecz z coraz większym niepokojem oczekiwaliśmy nadejścia pozostałych, tym bardziej, że wciąż rozlegały się strzały. Koło południa zebrało się nas około trzydziestu. Nigdy nie dotarli z tych mi najbliższych, co pamiętam: Staszek Boguszewski, Zenek Lewiński, obaj Nitosławscy, Władek Wielhorski. Ich wszystkich, prócz Zenka, który zginął w wojsku w Anglii, spotkałem dopiero wiele lat po wojnie. Okazało się, że strzały jakie słyszeliśmy były kierowane właśnie na nich. Zaczęli kluczyć i udało im się w nieco większej grupce przekroczyć granicę litewską, odległą od miejsca naszego rozstania o około 10 kilometrów. Tam już, przy wydatnej pomocy rodziny Władka, dostali się do Francji. Do punktu zbiórki pod majakiem dotarli: mój Adam, Ignacy i Heniek.

Losy tych mi najbliższych były różne i jakże typowe dla naszych rówieśników. Najprędzej odszedł mój Adam, bo w 1961, w pełni twórczych sił, profesor chirurgii dziecięcej we Wrocławiu. Zmogła go nieuleczalna choroba – rak. Kolejno nie zjawiał się na spotkanie Staszek, który choć osiadł w Anglii, od lat 60-tych przybywał regularnie do Polski, do matki. Iguś osiedlił się w Południowej Afryce i jako jedyny z nas stał się prawdziwym milionerem. Na emeryturę przeniósł się jednak do Kanady i tam zmarł w końcu lat 70-tych. O losie Heńka nic nie wiem – zniknął z pola mego widzenia jeszcze w czasie wojny. Ignacy Jeśman bardzo krótko cieszył się swobodą. Tuż po naszym powrocie do Wilna, gdy jeszcze uniwersytet działał siłą rozpędu, wobec niekompletnego po zakończeniu działań składu zarządu Bratniej Pomocy, zwołano zebranie, aby przeprowadzić uzupełniające wybory. Prezesem Bratniaka prawie jednogłośnie wybrano Ignacego. Sprawował swe funkcje tylko kilka dni. NKWD aresztowało go niemal w przeddzień przekazania Wilna Litwinom. Udało mu się przeżyć w więzieniach i łagrach aż do amnestii, a później wydostać się z armią Andersa. Stracił jednak zdrowie i do wojska nie został przyjęty. Po wojnie usłyszałem, że znalazł się w Egipcie, a potem osiedlił się na stałe w Rio de Janeiro. Po

swych doświadczeniach stracił wszelką ochotę do powrotu. Nie szukał też sposobu nawiązania kontaktu. Moje liczne próby odnalezienia go, także później, wobec niemożności natrafienia na kogoś, kto posiadał pełny jego adres, spełzły na niczym. Dopiero w ubiegłym roku go ustaliłem. Natychmiast wysłany obszerny list wrócił wszakże z notką, że adresat jest nieznanym. Niedawno dowiedziałem się, że po śmierci swej żony Ignas zupełnie się załamał. Pewnego dnia wyszedł z domu i... wszelki ślad po nim zaginął.

Pozwoliłem sobie tu na dygresję, gdyż są mi nadal tak bliscy i wracam do dalszych naszych losów.

Oczywiście jako jeden z pierwszych pojawił się nasz nowy dowódca ppor. Kowalski, który zrezygnował z pójścia do Gib do matki, bo miejscowość była już ewidentnie zajęta przez wojsko sowieckie. Podliczyliśmy się oraz naszą broń. Okazało się, że każdy z nas nadal posiada wszystko to z czym wyruszyliśmy, a prócz tego ma nieco „zdobycznej” amunicji i karabinów „zorganizowanych” od uciekających żołnierzy pod Sopoćkiniami.

Podporucznik Kowalski dobrze znał tamtejszy teren i postanowił, że postaramy się przebiec w kierunku Warszawy, pójdziemy lasami, a pierwszą bazę założymy w okolicy Augustowa, gdzie w lasach miał on przyjaciół leśników, z którymi stale polował. Będzie więc zaopatrzenie w żywność, w razie potrzeby kryjówka, a co najważniejsze – jakieś radio, dzięki któremu będziemy mogli uzyskać pewne wiadomości i aktualne rozeznanie w sytuacji frontowej.

I tak oto ruszyliśmy przez lasy Puszczy Augustowskiej. Dojście do ustalonego punktu w leśniczówce koło wsi Strękowizna nad jeziorem Kalejty, ponad 10 kilometrów na północ od Augustowa zajęło nam dwa dni forsownego marszu. Dotarliśmy tam 26 września. I znów przypadła mi rola siedzenia przy radiowym nasłuchu. Nie był to jednak ów świetny odbiornik OCEANIC, a tylko bateryjna superheterodyna firmy MENDE, zasilana z akumulatorów i skrzynki z bateriami.

W leśniczówce nie było oczywiście prądu, nie wiadomo też było co będzie z możliwością pozyskania świeżych baterii i podładowywania akumulatorów. Augustów był już zajęty przez Sowieców. W pierwszych zarządzeniach nakazano oddać radioodbiorniki. Stąd też z naszego aparatu można było korzystać tylko w ograniczonym czasie. Na takie okazje rozciągano zwoje długiej miedzianej anteny na wysokich tyczkach i zwijano zaraz po zakończeniu odbioru. Oczywiście rozstawiano wokół warty.

Przy pierwszych próbach przekonałem się, że żadna polska radiostacja już nie pracuje. Niemieckie komunikaty twierdziły, że wojnę z Polską zakończyło pełne zwycięstwo. Pierwszy raz spotkałem się wtedy z określeniem Blitzkrieg, tak bardzo później spowszedniałym. Radio w Mińsku podawało o zakończeniu „wyzwalania zachodniej Białorusi i Ukrainy z pod władania polskich panów”. Z trudem udało mi się zlokalizować miejsce nadawania komunikatów francuskich i angielskich. Początkowo natrafiłem na audycje dla użytku krajowego, przy czym ku memu zaskoczeniu, z tekstu domyśliłem się, że niektóre francuskie i angielskie audycje wywodzą się z redakcji niemieckich. Dopiero później odkryłem prawdziwe komunikaty, a także nadawane na tych kanałach audycje po polsku. Porównanie wskazywało, że informacje przeznaczone dla odbioru w Polsce są bardziej optymistyczne i niestety różnią się od lokalnych. Jasnym jednak było, że broni się jeszcze Warszawa, Modlin i Hel, trwają bliżej nieokreślone walki koło Lwowa. Natomiast nasz rząd znajdował się już w Rumunii i stamtąd kieruje działaniami. Tam też ku naszemu przerażeniu, bo nic o tym nie wiedzieliśmy, jest internowany Rydz-Śmigły. Jak mógł porzucić jeszcze walczącą, zorganizowaną armię?! Kto więc dowodzi całością działań? Czyżby to już koniec, podobny do paniki widzianej pod Sopoćkiniami?

Następne kilka dni przyniosły krańcowe przygnębienie. Po kolei gasły punkty oporu. Radio donosiło o ogromnych stratach w ludziach i zniszczeniach materialnych na froncie niemieckim. Cicho było natomiast zupełnie o sytuacji na naszych terenach. Ani Anglicy, ani Francuzi żadnych informacji o nich nie podawali. Tak jakby tutaj nic się nie zmieniło, jakby działania czerwonej armii były wsparciem, a nie inwazją. Siedzieliśmy ukryci w gęstym lesie i jedyny kontakt to leśniczówka i nad jeziorem położone gospodarstwo Jana Stefanowskiego. Ten był łącznikiem w dostawie dla nas żywności i wiadomości z okolicy. Wykopaliśmy ziemianki, wymościiliśmy je słomą i zakamuflowaliśmy z góry gałęziami. Warty były stale rozstawiane i czuwały przed zaskoczeniem nas przez wroga, penetrującego okolice. Byliśmy jednak ukryci ci w znacznej odległości od dróg, a nawet prowadzące do nas leśne dukty były porośnięte krzakami.

Pierwszego października nasz dowódca zwołał nas dla naradzenia się co czynić dalej. Trzeba tu wspomnieć, że niemal wszyscy albo już ukończyliśmy studia na USB, albo byliśmy bardzo w nauce zaawansowani. My prawnicy mieliśmy poczucie kompletnego zawodu studiami. Gdzież tu ta omnipotencja prawa, którą tak nam wbijano do głowy? Ta właśnie co miała być mocniejsza od władzy wykonawczej. Co warta jest zasada *pacta sunt servanda*, skoro i Niemcy i Sowieci złamali pakt o nieagresji, które były podstawą naszej niepodległości? Gdzież ta aliancka ofensywa w 14-tym dniu od wypowiedzenia wojny, gdzież wsparcie przez Anglię flotą i lotnictwem, o czym tak nas zapewniano zachęcając, byśmy nie ustąpili Niemcom ani guzika? Jak mógł nasz rząd decydować się na prowadzenie



polityki doprowadzającej do wojny, skoro tak dalece byliśmy słabi technicznie i tak źle przygotowani. Gdzież ta strategia, o której nas zapewniano, że jest naszą pewną podporą? Gdzież nasza tak dumna polityka zagraniczna?

Przygnębiał nas niedosyt wiedzy o historii. Nie umieliśmy sobie wyobrazić działań pokolenia naszych rodziców, którzy niepodległość państwa potrafili z niebytu przywrócić, a my tak łatwo zdołaliśmy ją utracić. Wszystkie te pytania i argumenty padały w czasie wielogodzinnych dyskusji. Oczywiście nikt z nas nie potrafił na nie udzielić odpowiedzi. Postanowiliśmy przeczekać jakiś czas w lesie, zorientować się czy gdzieś istnieje nasza zorganizowana obrona, a jeśli tak – to dołączyć do niej. Gdyby natomiast miał to być już koniec, to pozostaje jeszcze nadzieja na ruszenie ofensywy z Zachodu, zanim Niemcy pójdą ze swą armią na Francuzów. Zdecydowanie odrzuciliśmy wariant przejścia do Litwy, która jako państwo o zadeklarowanej neutralności musiała nas internować.

Upłynęło kilka dni. Noce stały się zimne, rano ziemię okrywał szron. Większość nas nie miała płaszczy. Na całą grupę zebraliśmy kilka koców. Jak na ironię zaczęły padać deszcze, których przez cały wrzesień nie było wcale, a które tak bardzo mogły utrudnić posuwanie się wroga na naszych nie asfaltowanych drogach. Co dzień miałem stałe godziny nasłuchu i choć wprawilem się w ślepe odnajdywanie właściwych stacji nadawczych, to uzyskiwane informacje nic do naszego losu nie wnosiły. Wreszcie po dziesięciu dniach Moskwa nadała komunikat, szeroko rozgłoszony, że w uznaniu sprawiedliwości dziejowej i racji historycznych „Wielki Związek Sowiecki” przekazuje Litwinom w darze ich „starożytną stolicę Wilno”. Słuchałem komunikatu wielokrotnie, nie wierząc własnym uszom. Potwierdziły jednak ten fakt (co prawda z oburzeniem na kolejne łamanie prawa międzynarodowego) radiostacje francuskie i angielskie.

Po uzyskaniu mojej relacji ppor. Kowalski zwołał nas wszystkich ponownie na naradę i oświadczył, że ta nowa sytuacja dyktuje ostateczne rozwiązanie naszej grupy. Nadchodzą chłody, nie ma w okolicy żadnych innych oddziałów wojsk, zaopatrzenie otrzymujemy z coraz większymi trudnościami, penetracja obszarów wiejskich przez sowietów jest coraz bardziej widoczna, władza ich w Augustowie jest już właściwie umocniona. Wiadomo o aresztowaniach i łapaniach polskich wojskowych. Proponuje więc byśmy się podzielili na czwórki i każda na własną rękę starała się przebić do Wilna, póki jeszcze nie zostanie utworzona sowiecko-litewska granica, trudna do przebycia. Ryzyko jest duże, bo wieści z Augustowa przynoszą, że wyłapują tam oficerów i wszystkich, którzy wyglądają na niezwiązaną z terenem inteligencję. Lecz gdyby nas tu złapano z bronią i w mundurach, los nasz będzie znacznie gorszy. Zapadła cisza. Dyskusji nie było. Dowódca miał rację.

Adam, Ignacy, Heniek Lachowicz i ja jako najbardziej zżyci ze sobą postanowiliśmy iść razem. Tylko Ignacy Jeśman wywodził się z terenów wschodnich i znał wobec tego język białoruski i nieco rosyjskiego. My trzej, jako urodzeni na zachodzie Polski – oczywiście żadnego pojęcia o języku rosyjskim nie mieliśmy. W drodze na pewno zajdzie potrzeba jakiegoś komunikowania się z wojskami najeźdźców. Pierwszą rzeczą przed rozejściem się było zakonserwowanie i zakopanie broni. Rozstaliśmy się z nią z żalem. Ani razu jej nie użyliśmy, nie licząc próbnych strzałów pod Sopoćkiniami, kiedy i tak nasze kule nikogo nie dosięgły, a trzeba było oszczędzić tak skąpą ilość amunicji. Cały metal grubo posmarowaliśmy tłuszczem, owinęliśmy w papiery i worki i zakopaliśmy koło stodoły Jana Stefanowskiego.

Problemem stały się nasze oficerskie spodnie. W nich iść byłoby ryzykownie. Dostaliśmy jakieś podarte i połatane robocze, które dostarczyli nam mieszkańcy wsi na wymianę, nie wykazując obaw przy planowanym noszeniu naszych do kościoła. Pozdejnowaliśmy zegarki, przybory do pisania jakie mieliśmy z domu, wszystkie papiery i dokumenty. Przejął je wszystkie Stefanowski zapewniając, że gdy tylko się zgłosimy po odbiór – będą do dyspozycji. Wręczyliśmy mu także większość pieniędzy, pozostawiając sobie tylko pewną ilość drobnych.

Wówczas, będąc już niemal pozbawieni śladów dawnego bytowania, przystąpiliśmy za radą Ignasia do rąbania i piłowania drzewa, którego spory zapas przygotował sobie na zimę nasz gospodarz. Rąbaliśmy i piłowaliśmy cały dzień, do późnego wieczora. Ręce nasze były w bąblach, a od dłuższego noszenia broni i pobrudzenia tłuszczem – stwardniałe i brudne. Mimo takiego wyglądu Ignacy kazał nam jeszcze parę godzin wycierać dłonie łupinami ziemniaków pomazanych ziemią. Rezultat okazał się zgodny z jego planem, by w razie zatrzymania przez patrole tłumaczyć, że „my czernoroboczyje”.

W czerwcu 1945 udałem się do Augustowa, a stamtąd do Strękowizny, by zobaczyć się z tym naszym dobrym duchem opiekuńczym. Okazało się, że rok temu cała wieś Strękowizna została przez naszych „wyzwolicieli” zaaresztowana i wywieziona. Nigdy później, mimo starań, na ślad Jana Stefanowskiego nie natrafiłem.

Wyruszyliśmy o świcie unikając szosy i większych dróg. Szliśmy drogami polnymi w kierunku na Grodno. Żaden z nas nie był w dobrej formie. Przez te parę tygodni niedożywienia, niemycia się, zarośnięcia, trudno było rzeczywiście odgadnąć, że jesteśmy studentami. Ja cierpiałem na biegunkę, a nawet pozbyliśmy się przed drogą maminego papieru toaletowego. Pod wieczór dotarliśmy do skraju

miasteczka Lipsk. W jakiejś chałupie dano nam chleba i mleka i zezwolono na nocleg na sianie. Uprowadzono nas, że w Lipsku stacjonuje oddział kozaków i poradzono, by starać się unikać ruskich, bo zgarniają naszych żołnierzy i pędzą do Grodna.

Jeszcze było szaro, gdy ruszyliśmy w drogę. Zdaliśmy sobie sprawę, że mamy teraz znacznie lepsze szanse przedostania się do domu, bo wieści o wyłapywaniu żołnierzy muszą pochodzić z doświadczeń poprzednich dni, gdy większość wojsk po ustaniu działań wracała do domów. My szliśmy jednak co najmniej o dziesięć dni później, a więc nawet fala pieszych uciekinierów z zachodu musiała już się przedostać. Natykaliśmy się na grupki, a czasem i pojedynczych żołnierzy wracających w rejon Suwałk i Augustowa przeważnie z południa. Od nich dowiedzieliśmy, że jesteśmy jednymi z nielicznych idących w przeciwnym kierunku i że należy unikać sowieckich patroli, choć nie wszystkie zbierają „plennych”.

I rzeczywiście – nie trzeba było długo czekać. Na wąskiej drodze, zza zakrętu pojawił się zwiad konny. Na jego czele na wspaniałym koniu jechał oficer, chyba Gruzin, mający na głowie wysoką baranią „papachę”.

– Stać! Ruki w wierch! Szto wy takojce?

Ignacy znalazł się jakby w ogóle nie czuł się zakłopotany. Wyjaśnił po białorusku, że jesteśmy powracającymi z niemieckiej niewoli żołnierzami, że zwolnili nas jako zwykłych szeregowców, do tego „czernoraboczych”, że wracamy do Wilna, gdzie mieszkamy.

– Pakaży ruki!

Wygląd naszych łap musiał go zadowolić. Do tego mój przewód pokarmowy nie wytrzymał napięcia i rozchodząca się woń dała znać o mych dolegliwościach. Oficer skrzywił się, splunął i przeklinając kazał nam biegiem odejść „w kibieni matieri”.

Jeszcze ze dwa razy udało nam się przejść wolno poprzez wojskową kontrolę. Pod koniec marszu przed Grodnem szliśmy tylko ścieżkami pól i gęsięgo.

W lipcu przed wojną pojechałem z ojcem samochodem do Grodna, gdy był wezwany do wykonania operacji w tamtejszym szpitalu. W owym czasie kolumna kierownicy była jeszcze słabo amortyzowana, a przy ówczesnym stanie dróg koło silnie uderzało w ręce. Dlatego ojciec, choć bardzo lubił prowadzić samochód, w dalszą drogę zawsze brał ze sobą kierowcę, albo mnie w tej roli. Nocowaliśmy wówczas na zaproszenie ordynatora w jego domu, gdzie nas bardzo serdecznie podejmował. Sądziłem więc, że jeśli uda mi się dotrzeć do szpitala i spotkać z tym chirurgiem – ułatwi nam on dalszą drogę do Wilna.

Już dobrze po ciemku odnaleźliśmy szpital. Udając, że mamy wśród nas rannego odszukaliśmy pielęgniarkę – Polkę, której zawierzyliśmy naszą tajemnicę i prośbę. Ta skryła nas natychmiast w jakiejś salce i wyjaśniła, że w szpitalu jest właśnie kontrola NKWD, szukają wśród chorych zadekowanych oficerów. Za pół godziny otworzyła kluczem drzwi i kazała skakać przez okno do ogrodu i tam czekać na nią. Po chwili przyszła i poleciała iść za sobą. Miasto wyglądało okropnie. Nie oświetlone, brudne, mimo nocy widzieliśmy zwieszające się z balkonów czerwone płachty. Szliśmy po bocznych ulicach, aż wreszcie doprowadziła nas do swego domu. Tam nakarmiono nas i zorganizowano jakieś koce na podłogę. Wyjaśniła nam, że wraz z koleżankami bierze nas pod opiekę. Do ordynatora nie powinniśmy się zgłaszać, bo sam jest pod obserwacją i zauważenie nas oberwańców w jego otoczeniu wzmoże zainteresowanie. Mamy przez następny dzień nie wychodzić z domu, w tym czasie pielęgniarki w porozumieniu z polskimi kolejarzami zorganizują nam dostanie się do pociągu jadącego do Wilna. Gdy już w nim się znajdziemy, będziemy bezpieczni. Najgorzej jest na stacji, gdzie stale wyłapują polskich żołnierzy i wywożą w kierunku Mińska. Nikt nie wie, co się dzieje dalej z nimi, ale według ich informacji żaden z nich stamtąd, jak dotąd, nie powrócił.

Zorientowaliśmy się, że w mieście działa już samorzutnie polska tajna organizacja, pomagająca takim jak my w potrzebie. Czuliśmy się głęboko wzruszeni i dumni, że oto takich posiadamy rodaków. Dalszy ciąg był niemal zbyt prosty. Gdzieś po południu przyszły cztery pielęgniarki, oczywiście ubrane po miejsku, z koszykami i workami. Wzięły każdego z nas pod rękę i poprowadziły na dworzec towarowy, daleko poza stacją. Nie było tam pociągów, za to przy torach leżały porozsypywane kawałki węgla. W tym celu mieliśmy właśnie koszyki i worki. Zbieraliśmy pracowicie wszystko co nadawało się do spalania i u nikogo nie budziło to zainteresowania. Takich jak my było wielu. Powoli i ostrożnie zbliżyliśmy się do składu pociągu z wagonów osobowych na przemian z towarowymi. Koło pociągu kręcili się polscy kolejarze stukając długimi młotkami w koła. W pewnej chwili jeden z nich zwrócił się do nas i kazał natychmiast wchodzić do wagonu i ukryć się poniżej okien. Ledwo zdążyliśmy podziękować naszym opiekunkom, już pociąg ruszył do stacji. Na peronie tłum i ścisk trudno wyobrażalny. Wśród tłumy grupki sowieckich żołnierzy z bagnietami na karabinach. Wokół nich – wolny od ludzi pierścień. Pociąg zwalnia, a ludzie z peronu już rzucają się by zająć miejsca. W naszym wagonie robi się tak ciasno, że wśród masy cywilów nikną nasze mundury. Czapki dawno trzymamy w rękach. Jeszcze chwila – lokomotywa gwizdże. Mimo że wagony są nadal oblepione ludźmi na stopniach i zderzakach – pociąg rusza. Dudni po tych samych podkładach, po których tak radośnie dojeżdżaliśmy do Grodna

niemal miesiąc temu. Żadnego konduktora, nikt nie sprawdza biletów, zresztą trudno byłoby się nawet precyzyjnie.

Podróżni to w większości powracający do domu lub uciekający z daleka uchodźcy. Na mniejszych stacjach pociąg zatrzymuje się, lecz pasażerów nie ubywa, a raczej przybywa, choć wydaje się to niemożliwe.

Całą drogę do Wilna przebywamy w niecałe cztery godziny. Niemal z podobną szybkością, jak pociąg osobowy sprzed wojny. W Landwarowie widzimy zachód słońca. Stąd już bardzo blisko. O zmroku pociąg wtacza się na stację. Ogromny tłum wynurza się z wagonów i przepycha przez zatłoczony tunel pod peronami. Tam mnóstwo kobiet. Krzyczą na nasz widok:

– Który pułk? Skąd wracacie? Czy widzieliście 5-ty pepeleg? Znacie może Gryncuka Jana?

Z ogromnym trudem przepychamy się do wyjścia. Postanawiamy wziąć dorożkę i jechać wszyscy czterej do naszego domu. Boimy się iść w nieznaną nam sytuacji po ulicach. Jest ciemno. Widać uzbrojonych w karabiny cywilów z czerwonymi opaskami. Dorożkarz popędza konia, bo jak tłumaczy, zaraz nadejdzie godzina policyjna. Co zastaniemy w domu?

Nareszcie jesteśmy. Wyciągamy wszystkie pieniądze, jest tego prawie dziesięć złotych. Nasza brama i podwórko. Na drzwiach wciąż ta sama tabliczka co dawniej. Dzwonek. W oknach całkiem ciemno. Nikt nie otwiera. Dzwonimy ponownie i pukamy. Wreszcie słychać czyjeś kroki i drzwi uchylają się, nieco przytrzymywane łańcuchem. Widzę, że to mama, ale jakoś dziwnie na nas patrzy, jest przestraszona.

– Czy jest pan doktor, mamy rannego...

– Owszem jest, ale powinniście iść raczej do szpitala. Nie mamy opatrunków. To tu blisko, na Bogusławskiego...

Przez szczelinę drzwi wysuwa się wąski nos naszego jamnika – Asia, który przepycha się z całej siły i wdrapuje mi się na nogę z psim skowytem szczęścia.

– Synku, to ty...

– Mamusiu...